

Warszawa, marzec 1805

**P**iętnastego marca, wczesnym popołudniem dał się w Warszawie słyszeć głuchy pomruk, jakby groźne echo dalekiego werbla lub gruchot głązów z niewidzialnego cyklopowego muru\*. Mało kto jednak zwrócił na to uwagę. Życie miasta toczyło się, jak gdyby nic się nie działo.

Koło pierwszej na rogu Bednarskiej i Krakowskiego Przedmieścia Marcin Zięba wpadł na Jacquota.

– Wisła ruszyła! – podzielił się z nim nowiną.

– Przecież słyszę – burknął Jacquot.

Marcin przyjrzał się przyjacielowi. Chłopak wyglądał na przygnębionego.

– Idę do pana Magiera – powiedział. – Pójdiesz ze mną? Byłbym cię przedstawił.

– Mam sprawunki do zrobienia – wykręcał się Jacquot. – Nie masz pojęcia, jak dużo rzeczy trzeba zabrać ze sobą w podróż, kiedy się jest królową albo księżną.

– Rzeczywiście – zgodził się Marcin. – I raczej się nie dowiem, bo nie mam widoków na koronę. Ale powinieneś też pomyśleć o swojej przyszłości. Oni odjadą, a ty...

---

\* Mur cyklopowy – mur z nieobrobionych i niespojonych zaprawą bloków kamiennych.

– Dobrze, pójdę – westchnął Jacquot i niechętnie ruszył za Marcinem. – Wiesz – odezwał się po dłuższej chwili milczenia. – Mówią, że księżę de Fleury wysłał do Paryża oświadczenie o swojej podległości temu... Bonaparte i prosił o zezwolenie na powrót.

– Co ty powiesz? – zdziwił się Marcin. – Księżę de Fleury, za którego szlachetność ręczyłeś?

– Myliłem się – stwierdził krótko Jacquot.

– Co go do tego skłoniło?

– Pustki w kieszeni. Przegrał w karty majątek żony i własny, a potem wszystko, czym łaskawie obdarował go Jego Wysokość. I to nie wystarczyło, bo zaczął fałszować weksle z królewskim podpisem. Gdy się o tym król dowiedział i go wyrzucił za drzwi, zaczął podobno sprzedawać informacje o życiu dworu agentom uzurpatora.

– Widzisz? – Marcin nie mógł się powstrzymać od wymówki. – A ty twierdziłeś, że to szlachcic, i że w głowie się nie mieści, by miał coś wspólnego z zamachem na twojego króla!

– Widocznie i szlachcic może być świnia – rzekł Jacquot ponuro.

– Patrzcie państwo, co za rewolucyjne słowa! – roześmiał się Marcin. – Jeszcze trochę pobędziesz w Warszawie, a staniesz się jakobinem\*!

Weszli po stromych schodach na trzecie piętro kamienicy przy Piwnej 95.

---

\* Jakobinami nazywano lewicowy klub polityczny działający w rewolucyjnej Francji, radykalni przeciwnicy monarchii i religii katolickiej. Po przejęciu władzy wprowadzili krwawy terror. W Polsce określano tak zwolenników radykalnej polityki rewolucyjnej w okresie insurekcji kościuszkowskiej, takich jak Hugo Kołłątaj czy Jakub Jasiński.

– Jegomość, Wisła ruszyła! – zawołał Marcin od drzwi.

Pan Antoni Magier zajęty był przelewaniem jakiejś cieczy z jednej długiej szklanej rurki do drugiej, lecz natychmiast odstawił obie na drewniany stojak, wytarł ręce i zaczął szukać pióra, by odnotować tę ważną informację.

– O której? – zapytał, maczając ostry czubek w kałamarnicy.

– O wpół do pierwszej – Marcin był dobrze przygotowany.

Uczony zapisał krótką notkę na brzegu jakiegoś arkusza.

– Stała się piętnastego listopada... Stała więc sto dwadzieścia dni. Dłużej niż w zeszłym roku – powiedział do siebie, posypując kartę piaskiem. Dopiero potem podniósł wzrok na chłopców.

– Nie wiem, czy jegomość pamięta – Marcin wskazał Jacquota. – To jest Jacques Larue, mój przyjaciel, dawniej kuchcik u hrabiego de Lille. Dwór wyjeżdża, a on zostaje w Warszawie i szuka posady. Pomyślałem, że nadałby się jegomości do pomocy.

Profesor Magier uważnie przyjrzał się chłopakowi.

– Umiesz czytać i pisać? – zapytał.

– Tak, wielmożny panie.

– A liczyć?

– Wcale nieźle.

– Co robiłeś w kuchni?

– Co popadło. Zmywałem, obierałem jarzyny, kroilem i siekałem.

– Pokaż, co potrafisz – pan Magier wziął z talerzyka jabłko, położył na stole, a potem wyjął z kieszonki mały kozik i wręczył Jacquotowi. – Obierz i posiekaj w kosteczkę, byle drobniutką.

Jacquot chwycił jabłko i w okamgnieniu, niemal niezauważalnym ruchem kozika obrał je ze skórki, która opadła na blat jak cienka, zwinięta w serpentynę wstążka. Potem z chirurgiczną precyzją usunął pestki i pokroił owoc w idealnie równe, maleńkie kosteczki.

– Brawo! – pan Antoni był zadowolony. – Ręce masz sprawne. Nadasz mi się. Chcesz u mnie pracować?

– Bardzo, wielmożny panie.

– Dostaniesz pensję, na początek niewielką, ale na życie wystarczy. Masz gdzie mieszkać?

– Do wyjazdu Ich Królewskich Mości mogę zostać w pałacu. Potem... potem nie wiem.

– O to się nie martw – powiedział pan Magier. – Umiesz cię u Michaulta. To twój rodak, a mój zaufany współpracownik. Mieszka z synami przy Senatorskiej, na pewno znajdzie się u niego miejsce i dla ciebie.

– Pokornie dziękuję waszej wielmożności – Jacquot ukłonił się grzecznie.

– Nie ma za co, nie ma za co! – pan Antoni zrobił zawstydzoną minę, jakby uważał, że żadna wdzięczność mu się nie należy. – Przecież to ja na tym skorzystam. Dziękuję ci, Marcinku, żeś o mnie pomyślał! – zwrócił się do Marcina. – A przy okazji, skoro jesteście tu we dwóch – w sieni stoi kosz, który przygotowałem dla pana Kuparenki. Jest tam nieco różnych rupieci, które mogą mu się przydać do wyposażenia balonu. Byłbym wdzięczny, gdybyście ten kosz zanieśli panu Jordakiemu do Hecy, bo Franciszek całkiem już skapcaniał i prędzej dostanie zadyszki niż taki ciężar doniesie!

Petronela Ziębianka miała wprawdzie własny mały pokoik przy kuchni u państwa Hoffmannów, u których służyła, jednak kiedy tylko mogła, starała się wracać na noc do domu. Od czasu, gdy pożar zniszczył warsztat szewski Antoniego Michała Zięby i omal nie spowodował śmierci małego Maćka, ojciec Petroneli nie potrafił się podźwignąć. Przy pomocy krewnych i przyjaciół udało mu się wprawdzie odremontować mieszkanie i szybko wrócić do pracy, ale jego bliscy widzieli, że nie jest już tym samym człowiekiem co dawniej.

Antoni Michał Zięba należał do osób, które dotknięte nieszczęściem, załamują się nie z powodu samego nieszczęścia, lecz dlatego, że potwierdza ono ich przekonanie o tym, iż nic dobrego nie może im się przydarzyć. Pożar był tylko kolejnym niesprawiedliwym zrzędzeniem losu, idealnie wpisującym się w pechowy ciąg, prześladowający szewca od lat. Dlaczego spalił się akurat jego warsztat a nie, dajmy na to, Kilińskiego?

Pan Zięba był przy tym człowiekiem dumnym, więc odmówił przyjęcia pomocy od cechu, wiedząc, że za przyznaniem mu zapomogi stał zniechęcony konkurent. Odmówił – a potem miał za złe, powtarzając gderliwie, że biedak zawsze musi liczyć sam na siebie. Gderał zresztą, trzeba przyznać, znacznie mniej niż przedtem. Wszystkie emocje pana Antoniego Michała pod wpływem niedawnych zdarzeń zacisnęły się w trudny do rozplątania węzeł, a węzeł ów umieszczony był gdzieś głęboko w jego krtani, toteż szewc zrobił się milczący i jeśli mówił, to cicho i z trudem.

Petronela dostrzegała to wszystko i ogromnie współczuła ojcu. Martwiła się też o matkę, obciążoną coraz większym brzemieniem trosk, i o chorowitego braciszka. Kiedy wracała

na Piwną, starała się mówić jak najwięcej i śmiać jak najwesalej, żeby zagłuszyć smutną ciszę wypełniającą przestrzeń pomiędzy wydzielającymi jeszcze lekki swąd spalenizny ścianami. Brakowało jej dawnego gwaru, który panował w mieszkaniu tak bardzo, że tęskniła nawet za odwiecznymi kłótniami ojca z Marcinem.

O najstarszym synu Zięba na co dzień nie wspominał. Odkąd Marcin wyprowadził się i zaczął pracować w Hecy u pana Kuparenki, jego los zdawał się już ojca nie interesować. Owszem, kiedy chłopak przychodził w odwiedzinę, Zięba traktował go zwyczajnie, jakby nic się nie zmieniło. Nigdy jednak nie pytał, jak mu się wiedzie, ani nie był ciekaw, czym się teraz zajmuje.

Sprawy warsztatu też Ziębie zubożały. Żył tak, jakby uznał, że nic lepszego go nie spotka. Dzień po dniu odmierzane były wbijanymi w skórę ćwieczkami, monotony stuk młotka nadawał nie tylko rytm, lecz i nastrój. Większych zamówień brakowało, została tylko codzienna łatanina dla stałych, ubogich klientów. Nic dziwnego, że czeladnik Juraszek wymówił pracę i przeniósł się na drugą stronę Piwnej, do warsztatu szewca Tysiewickiego pod dziewięćdziesiątym czwartym. Tam mógł się więcej nauczyć i miał okazję rozwijać się zawodowo.

Petronela próbowała pomóc, jak umiała. W ciągu dnia zajęta u Hoffmannów, przychodziła do warsztatu wieczorami. Siadała obok ojca przy wielkiej szklanej bani i pracowała z nim ramię w ramię. Jej długie, szczupłe palce potrafiły zrobić coś ładnego i zgrabnego nawet z brzydkiej, przetartej cholewki czy zdartego obcasa. Ojciec chyba lubił te wieczory

przeciągające się późno w noc. Niewiele się odzywał, lecz jego ciemne, zapadnięte oczy zdawały się uśmiechać.

Po takiej nocy zrywała się przed szóstą rano, żeby bieć do Hoffmannów. Pani Misia wciąż źle się czuła i potrzebowała, by ktoś zajął się domem. Na szczęście Petronela była rannym ptaszkiem. Kochała rzeźkie marcowe poranki. Lubiła wybiegać z bramy na Pivnej, wsłuchiwać się w stukot drewnianych obcasów, które sama sobie przybiła do trzewiczków, i pełną piersią wdychać powietrze, pachnące już wiosną. Każdy taki świt był dla niej jak stworzenie świata, bo oferował nową szansę. Dużo nowych dni, a każdy z nich pierwszy i jedyny – tak Petronela wyobrażała sobie swoje życie, choć wiedziała, że gdyby zwierzyła się z tego ojcu, zaśmiałyby się gorzko, krzywiąc usta.

Opatuliła się kraciatą chustką, chroniąc się przed chłodem poranka. Mijała kamienicę Magierów, gdy spostrzegła, że Franciszek przyczepia do drzwi prognozę pogody. Zaraz, zaraz, to wcale nie Franciszek! Zgarbioną sylwetkę starego sługi widywała niemal codziennie, nie mogła się mylić. Ten ktoś, kto stojąc do niej tyłem, przybijał gwoździkami arkusz papieru, stanowił całkowite przeciwieństwo Franciszka. Średniego wzrostu, smukły, lecz o szerokich ramionach, jasnowłosa i kędzierzawy...

– Jacquot? – zawołała ze zdziwieniem.

Odwrócił się.

– Perronelle! – uśmiechnął się do niej. Zawsze tak ładnie ją nazywał, a czasem mówił jeszcze ładniej – Nelly.

– Co ty tu robisz?

– Wywieszam pogodę na dziś – wytłumaczył, choć to akurat było oczywiste.

– Dlaczego ty?

– Ach, nie wiesz? – roześmiał się. – Myślałem, że Marcin ci powiedział. Nająłem się do pracy u pana Magiera. Franciszek nie może chodzić po schodach, bo go łupie w krzyżu. Teraz ja będę wywieszał prognozę. Codziennie, kwadrans na siódmą.

Spojrzał jej w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy zrozumiała tę ważną wiadomość.

– Codziennie kwadrans na siódmą – powtórzyła, żeby wiedział, że tak. – To do zobaczenia! – pomachała mu ręką i pobiegła w stronę Nowego Miasta. Dawno już nie było jej tak wesoło.

Kiedy przez uchylone okno z parku wpadać zaczęły pierwsze ciężkie, ziemiste wonie, radca Hoffmann poczuł wiosenne rozprężenie. Nie zważając na piętrzące się na biurku stopy akt, raz po raz popadał w marzycielską zadumę, a po głowie snuły mu się historie znacznie bardziej emocjonujące niż sprawa licytacji publicznej dóbr Wielka i Mała Wola.

W takim stanie rozmarzenia, siedzącego tyłem do biurka z nogami na parapecie, zaskoczył go Hitzig.

– Nie przeszkadzam? – zapytał. – Może pojechałbyś ze mną na spacer?

Hoffmann spostrzegł, że przyjaciel tłumi jakieś silne uczucia. Jego sympatyczna, otyła twarz była wyraźnie zaczerwieniona, a dobroduszne oczy skryte za okrągłymi binoklami rzucały na wszystkie strony szybkie, nerwowe spojrzenia. Wnioskując z tego, że Hitzig ma mu do powiedzenia coś wyjątkowo ważnego, radca pospiesznie włożył płaszcz i opuścił biuro, bez żalu porzucając zakurzone teczki z aktami.